Nie obiecuj mi ciszy

Harmonia nie wymaga, żeby jedno z nich zamilkło



Laura Bellini

Nie obiecuj mi ciszy

Harmonia nie wymaga, żeby jedno z nich zamilkło

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384904350

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki brzmienia 10
Rozdział 2 - Zasady bliskości 20
Rozdział 3 - To, czego nie słychać 32
Rozdział 4 - Poza partyturą 43
Rozdział 5 - Prawo do własnego tempa 57
Rozdział 6 - Dźwięk między nami 66
Rozdział 7 - Między tym, co zostało powiedziane 77
Rozdział 8 - W moim świecie 86
Rozdział 9 - Ryzyko wspólnego brzmienia 99
Rozdział 10 - Nie tylko między nutami 109
Rozdział 11 - Poranek bez obietnic 119
Rozdział 12 - Wyniki, których nie było w zestawieniu 129
Rozdział 13 - Cena decyzji 141
Rozdział 14 - To, czego boimy się stracić 152
Rozdział 15 - Wszystko, czego nie powiedziałeś 161
Rozdział 16 - Granica, której nie cofnę 174
Rozdział 17 - Kiedy zostaje tylko prawda 184
Rozdział 18 - Pierwszy krok bez gwarancji 193
Rozdział 19 - Harmonia wymaga odwagi 206
Rozdział 20 - Nie obiecuj mi ciszy 215

INTRO

W sali koncertowej najłatwiej było usłyszeć to, czego nie powinno tam być.

Tego ranka był to suchy trzask z prawej strony sceny, powracający po każdym klaśnięciu z opóźnieniem tak krótkim, że większość ludzi uznałaby go za część dźwięku. Ja słyszałam go wyraźnie. Stałam pośrodku pustej widowni, z teczką pod pachą i ołówkiem między palcami, i próbowałam sobie wmówić, że to tylko echo po ekipie, która poprzedniego dnia wynosiła stare krzesła. W rzeczywistości wiedziałam, że ten trzask może zniszczyć cały pomysł, nad którym pracowałam od trzech tygodni.

Na rozłożonym na pierwszym rzędzie foteli planie zaznaczyłam nowe ustawienie zespołu: fortepian bliżej środka, smyczki w lekkim półkolu, instrumenty dęte nieco głębiej, żeby nie przykrywały frazy solistki. Nie chciałam budować sceny od nowa ani zamieniać tej sali w sterylną, nowoczesną przestrzeń. Jej charakter tkwił w drewnie, proporcjach i tym szczególnym sposobie, w jaki dźwięk wracał do człowieka, zanim zdążył opaść. Remont miał ją ocalić, nie wymazać.

Miałam czterdzieści lat i wystarczająco dużo doświadczenia, by wiedzieć, że słowo „wizja" często służy za elegancką nazwę dla czyjegoś uporu. Mimo to nie zamierzałam oddawać swojego projektu tylko dlatego, że ktoś w kasku uzna go za kłopotliwy. Zostałam zaproszona do opracowania koncepcji muzycznej ponownego otwarcia sali. Nie po to, żeby przyjść na końcu, obejrzeć gotowe ściany i dopasować do nich repertuar, który nikogo nie narazi na ryzyko.

Wsunęłam ołówek za ucho i weszłam na scenę. Z miejsca, w którym miała stanąć wiolonczela, klasnęłam raz, potem drugi. Dźwięk wrócił nierówno. Przesunęłam krzesło o pół metra, powtórzyłam próbę i usłyszałam różnicę. Właśnie dlatego potrzebowałam dostępu do sali przed rozpoczęciem kolejnego etapu prac. Na papierze wszystko można było przesunąć bez konsekwencji. W rzeczywistości jeden źle ustawiony element potrafił odebrać muzyce oddech.

— Jeśli zamierza pani przesuwać wyposażenie, proszę najpierw powiedzieć ekipie.

Głos dobiegł z wejścia na widownię. Odwróciłam się zbyt szybko, a ołówek spadł na deski. Mężczyzna stał w przejściu między rzędami, bez kasku, w ciemnym płaszczu, z rulonem rysunków pod pachą. Nie wyglądał na kogoś, kto przyszedł podziwiać postęp remontu. Miał spokojną twarz i uważne spojrzenie człowieka przyzwyczajonego do sprawdzania, czy rzeczy zgadzają się z tym, co obiecano na papierze.

— Nie przesuwam wyposażenia. Sprawdzam ustawienie — odpowiedziałam.

— Krzesło jest wyposażeniem.

— A scena nie jest muzeum.

Kącik jego ust drgnął, ale nie nazwał tego uśmiechem. Podszedł kilka kroków, zatrzymując się przy pierwszym rzędzie. Nie wszedł na scenę bez zaproszenia. Zauważyłam ten drobiazg, choć nie chciałam przyznawać mu znaczenia.

— Kazimierz Las — przedstawił się. — Odpowiadam za akustykę w projekcie.

— Ludwika Gaj. Odpowiadam za to, żeby po remoncie było tu po co przychodzić.

— To ambitny zakres.

— Pański też brzmi dość szeroko.

Tym razem uśmiechnął się naprawdę, krótko i bez próby rozbrojenia mnie. Miał w sobie coś, co utrudniało łatwe zaszufladkowanie: nie spieszył się z odpowiedzią, ale też nie udawał, że nie usłyszał zaczepki. Zamiast spojrzeć na mnie, przyjrzał się planowi leżącemu na fotelu.

— Chce pani ustawić smyczki bliżej bocznej ściany?

— O kilkadziesiąt centymetrów. Dzięki temu solistka nie będzie walczyć z fortepianem o przestrzeń.

— A dźwięk odbity od tej powierzchni wróci do niej z opóźnieniem.

— Właśnie dlatego chcę to sprawdzić.

— Nie powiedziałem, że nie wolno sprawdzać. Powiedziałem, że nie można zakładać wyniku.

Nie podobało mi się, że miał rację w tej jednej, wąskiej kwestii. Jeszcze mniej podobał mi się ton, jakim ją wypowiedział: bez wyższości, bez teatralnego pouczania. Nie dawał mi wygodnego powodu, by go zignorować.

— Ma pan pomiary? — zapytałam.

Przez chwilę patrzył na scenę, jakby oceniał nie tylko jej wymiary, ale i to, co można z niej ocalić. Potem rozwinął jeden z rysunków. Zobaczyłam przekrój sali, oznaczenia paneli i kilka dopisków wykonanych czerwonym ołówkiem. Jedna z liczb była zakreślona, lecz kartka zsunęła się pod jego dłoń, zanim zdążyłam odczytać opis.

— Mam wstępne dane — powiedział. — Potrzebuję jeszcze jednego pomiaru w warunkach zbliżonych do docelowych.

— Kiedy?

— Kiedy sala będzie gotowa do próby.

— To może być za późno na zmianę ustawienia.

— A pani propozycja może być za droga, jeśli okaże się, że wymaga korekty ściany.

W jego głosie nie było groźby. Była granica, której nie zamierzał przekroczyć tylko po to, żeby ułatwić mi pracę. Poczułam irytację, ale pod nią pojawiło się coś znacznie mniej praktycznego: ciekawość. Nie próbował wygrać rozmowy. Chciał, żebym zobaczyła problem, zanim nazwę go przeszkodą.

— Nie proszę o zgodę na ślepo — powiedziałam. — Proszę o możliwość sprawdzenia rozwiązania, zanim ktoś je odrzuci.

— W takim razie musimy ustalić, co dokładnie sprawdzamy.

— My?

— Jeśli mam odpowiadać za akustykę, a pani za muzykę, ktoś musi dopilnować, żebyśmy nie pracowali nad dwiema różnymi salami.

To zdanie zabrzmiało rozsądniej, niż chciałam. Spojrzałam na plan, potem na niego. Zauważyłam drobny ślad pyłu na mankiecie jego koszuli i zmęczenie, którego nie maskował ani pośpiechem, ani zawodową pewnością siebie. Nie wiedziałam, czy był człowiekiem, z którym da się porozumieć, ale po raz pierwszy tego ranka pomyślałam, że być może warto spróbować.

— Mam próbę z kwartetem w piątek — powiedziałam. — Jeśli do tego czasu nie ustalimy ustawienia, stracę termin i ludzi.

— Ja mam ekipę, która w poniedziałek zamyka dostęp do bocznej części sceny. Jeśli teraz obiecam pani coś, czego budynek nie utrzyma, stracimy więcej niż termin.

Nie odpowiedziałam od razu. Zza wysokich okien wpadało blade światło, odsłaniając pył unoszący się nad rzędami foteli. Sala wyglądała jak miejsce zawieszone pomiędzy tym, czym była, a tym, czym ktoś chciał ją uczynić. Miałam własny plan, ludzi czekających na decyzję i zbyt mało czasu, żeby pozwolić, by cudza ostrożność zamieniła się w bezruch. On miał pomiary, których nie chciał jeszcze pokazać w całości, i odpowiedzialność, której nie zamierzał zrzucić na mnie.

Zebrałam kartki z fotela. Jedna z nich, ta z rozrysowanym półkolem smyczków, przykleiła się do drewnianej powierzchni od wilgoci. Kazimierz wyciągnął rękę, ale zatrzymał ją w połowie, czekając, aż sama zdecyduję, czy chcę pomocy. Podałam mu róg planu. Przytrzymał go ostrożnie, nie dotykając moich palców.

— Jutro o ósmej? — zapytał. — Zrobimy próbę w kilku ustawieniach. Bez obietnic, że którekolwiek zostanie.

— O ósmej mam spotkanie z dyrygentem.

— O dziewiątej?

— O dziewiątej mogę być tutaj.

— Dobrze.

Zwinął rysunki i odszedł w stronę bocznego wyjścia. Nie obejrzał się, a ja nie zawołałam go z pytaniem o zakreśloną liczbę. Jeszcze nie. Zostałam na scenie z planem, który przestał być wyłącznie mój, i z nieprzyjemnym przeczuciem, że najtrudniejszą częścią remontu nie będzie przekonanie budynku, by zabrzmiał inaczej.

Najtrudniejsze mogło się okazać ustalenie, ile prawdy potrafimy sobie powiedzieć, zanim każde z nas zacznie bronić własnej wersji ciszy.

Rozdział 1 - Warunki brzmienia

Następnego dnia przyszłam do sali koncertowej kilka minut przed dziewiątą. Spotkanie z dyrygentem zakończyło się później, niż zakładałam, ale zdążyłam jeszcze przejrzeć notatki i nanieść dwie poprawki na planie. Nie chciałam zaczynać rozmowy od tłumaczenia się z własnych terminów. Miałam wystarczająco dużo argumentów, by nie potrzebować dodatkowych usprawiedliwień.

Kazimierz czekał na scenie. Tym razem miał na sobie ciemny sweter i koszulę z podwiniętymi rękawami. Obok niego stały dwa statywy pomiarowe, niewielki głośnik oraz walizka z urządzeniami, których przeznaczenia nie zamierzałam zgadywać. Na jednym z foteli leżał jego rulon rysunków, przyciśnięty metalowym kątownikiem.

— Punktualność nie jest pani najmocniejszą stroną? — zapytał, gdy weszłam.

Spojrzałam na zegarek.

— Jest dziewiąta bez dwóch minut.

— Właśnie dlatego powiedziałem, że nie jest.

— A ja właśnie dlatego jeszcze nie zaczęłam się bronić.

Uśmiechnął się lekko i wskazał na scenę.

— Przygotowałem trzy warianty pomiaru. Chciałbym, żebyśmy zaczęli od ustawienia, które pani zaproponowała, ale bez przesuwania czegokolwiek na stałe.

— Nie planowałam przykręcać krzeseł do podłogi.

— Dobrze. W takim razie mamy już pierwsze porozumienie.

Położyłam teczkę na skraju sceny i wyjęłam plan. Wczoraj wieczorem dopracowałam układ, uwzględniając uwagi, które Kazimierz zdążył zgłosić. Nie zmieniłam głównej koncepcji. Przesunęłam jedynie fortepian o kilkanaście centymetrów, a ustawienie smyczków pozostawiłam takie, jakie uważałam za najkorzystniejsze dla zespołu.

Kazimierz pochylił się nad rysunkiem. Nie komentował od razu, tylko porównał go z własnym przekrojem sali. W jego sposobie pracy było coś, co mnie jednocześnie drażniło i interesowało. Nie traktował papieru jak ostatecznego dowodu. Sprawdzał go, jakby każda linia musiała jeszcze raz uzasadnić swoje istnienie.

— Dlaczego fortepian tutaj? — zapytał.

— Bo solistka będzie miała lepszy kontakt z dyrygentem. W obecnym układzie musi odwracać głowę, żeby widzieć jego ręce. Przy dłuższych frazach to przeszkadza.

— A jeśli przesuniemy go w drugą stronę?

— Stracimy przestrzeń dla wiolonczeli.

— Możemy zmienić kąt ustawienia.

— Możemy również przenieść wiolonczelę na balkon, ale nie sądzę, żeby muzyk był zachwycony.

Kazimierz odsunął się od planu i spojrzał na mnie z rozbawieniem.

— Zawsze tak pani negocjuje?

— Tylko wtedy, kiedy ktoś proponuje rozwiązania, które dobrze wyglądają na rysunku.

— W takim razie mamy podobny problem.

Nie odpowiedziałam. Podeszłam do fortepianu stojącego tymczasowo przy bocznej ścianie. Instrument nie był

jeszcze przygotowany do gry, ale wystarczyło kilka dźwięków, by usłyszeć, jak przestrzeń reaguje na jego obecność. Uderzyłam delikatnie kilka klawiszy, najpierw w średnim rejestrze, potem niżej. Dźwięk rozchodził się szeroko, lecz przy ostatnim akordzie pojawiło się nieprzyjemne zatarcie. Nie był to problem, który można było rozwiązać samą zmianą ustawienia.

— Słyszy pan? — zapytałam.

— Tak.

— To właśnie chcę ograniczyć.

— Nie tylko ustawieniem instrumentów.

— Wiem. Dlatego tu jesteśmy.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie ponad otwartą pokrywą fortepianu. Nie było w tym spojrzeniu niczego, co mogłabym nazwać niechęcią. Raczej ostrożność dwóch osób, które przywykły do podejmowania decyzji na podstawie innych kryteriów. Ja zaczynałam od tego, co ma usłyszeć człowiek siedzący w ostatnim rzędzie. Kazimierz od tego, co budynek jest w stanie oddać bez utraty własnej stabilności.

— Proszę stanąć w połowie widowni — powiedział. — Włączę sygnał testowy. Chciałbym, żeby opisała pani różnice między trzema ustawieniami.

— Sygnał testowy nie jest muzyką.

— Nie. Ale pozwoli nam odróżnić problem pomieszczenia od problemu konkretnego wykonania.

Zeszłam ze sceny i zajęłam miejsce w siódmym rzędzie. Kazimierz uruchomił urządzenie. Z głośnika popłynął krótki impuls, potem seria tonów o różnych częstotliwościach. Nie przypominało to żadnego utworu, który chciałabym

kiedykolwiek usłyszeć, ale pozwalało wychwycić różnice w odbiciu dźwięku. Przy pierwszym ustawieniu dźwięk był równy, choć nieco zbyt suchy. Przy drugim pojawiło się wyraźniejsze odbicie z prawej strony. Trzeci wariant dawał więcej przestrzeni, ale kosztem precyzji.

— Drugi odpada — powiedziałam.

— Dlaczego?

— Bo w tej konfiguracji dźwięki będą się nakładać. W szybszych fragmentach smyczki stracą czytelność.

— Trzeci?

— Lepszy dla chóru, gorszy dla kameralnego składu.

— A pierwszy?

— Najbezpieczniejszy, ale nie po to zaproszono mnie do tego projektu, żebyśmy wybrali najbezpieczniejsze rozwiązanie.

Kazimierz wyłączył urządzenie.

— To zdanie może nam przysporzyć problemów.

— W takim razie dobrze, że powiedziałam je teraz, a nie na spotkaniu z inwestorem.

Przez następne pół godziny sprawdzaliśmy kolejne punkty. Kazimierz przestawiał mikrofon, zmieniał poziom sygnału i notował wyniki. Ja przechodziłam między rzędami, siadałam w różnych miejscach, porównywałam odbicia i zaznaczałam na planie obszary, w których różnica była najbardziej słyszalna. Nie zawsze zgadzaliśmy się w ocenie. Czasami miałam wrażenie, że zbyt mocno ufa liczbom, innym razem musiałam przyznać, że moje pierwsze wrażenie było niepełne.

W pewnym momencie poprosił mnie, żebym usiadła w ostatnim rzędzie.

— Tutaj będzie najgorzej — powiedział.

— Dlaczego?

— Geometria tylnej ściany. Część energii wraca w sposób, którego nie skorygujemy samym ustawieniem sceny.

— A jeśli zmienimy materiały?

— Wtedy musimy sprawdzić, co można zrobić bez ingerencji w elementy, których konstrukcji nie wolno naruszać.

— Czyli jednak nie wszystko jest przesądzone.

— Nie powiedziałem, że jest.

Wstałam i podeszłam do ściany. Na wysokości kilku metrów widniał fragment starej dekoracji, częściowo zasłonięty rusztowaniem. Drewniane panele miały różne odcienie. Niektóre wyglądały na wymieniane, inne zachowały ślady wieloletniego użytkowania.

— Chciałabym, żeby to zostało — powiedziałam.

— W tej postaci?

— Jeśli się da.

— To nie jest odpowiedź techniczna.

— Nie wszystko, co ważne w sali koncertowej, da się opisać technicznie.

Stanął obok mnie, ale nie za blisko. Spojrzał na ścianę, potem na fragment dekoracji.

— Nie zamierzam usuwać czegoś tylko dlatego, że jest stare — powiedział. — Ale jeśli ten element wpływa na

bezpieczeństwo albo powoduje niekontrolowane odbicia, nie mogę udawać, że go nie widzę.

— A jeśli istnieje sposób, żeby go zachować?

— Wtedy będę pierwszym, który go zaproponuje.

Odwróciłam głowę. Jego odpowiedź była spokojna, pozbawiona zawodowej pozy. Zaskoczyło mnie, że nie próbował przekonać mnie do swojej racji przez powoływanie się na przepisy. Zamiast tego wyznaczył granicę i zostawił miejsce na poszukiwanie rozwiązania.

— Dobrze — powiedziałam. — W takim razie nie będę zakładać, że pańskim celem jest zrobienie z tej sali pudełka wyłożonego materiałem dźwiękochłonnym.

— A ja nie będę zakładał, że każda pani propozycja jest próbą podporządkowania budynku własnej wizji.

— To brzmi jak postęp.

— Jak na drugi dzień współpracy całkiem niezły.

Wróciliśmy na scenę. Kazimierz rozwinął większy rysunek i wskazał fragment oznaczony czerwonym ołówkiem. Był to obszar po prawej stronie widowni, mniej więcej na wysokości ósmego rzędu. Obok widniała liczba i krótki dopisek, którego nie potrafiłam odczytać z miejsca, w którym stałam.

— Co tutaj? — zapytałam.

Przez moment trzymał palec na oznaczeniu.

— Obszar wymagający dodatkowego sprawdzenia.

— Z powodu odbić?

— Między innymi.

— Czy mamy wyniki?

— Częściowe. Nie chcę wyciągać wniosków przed zakończeniem pomiarów.

Nie zabrzmiało to jak odmowa. Raczej jak świadomie postawiona granica. Nie zamierzałam naciskać, chociaż zapamiętałam miejsce na rysunku. Jeśli mieliśmy pracować razem, potrzebowałam wiedzieć, na czym stoimy. Jednocześnie nie chciałam wymagać od niego odpowiedzi, której sam jeszcze nie uważał za ostateczną.

— W porządku — powiedziałam. — Ale jeśli ten obszar wpłynie na ustawienie zespołu, muszę dowiedzieć się o tym przed zatwierdzeniem planu.

— Oczywiście.

Zrobił notatkę na marginesie. Zauważyłam, że przy każdej zmianie ustawienia zapisywał nie tylko wartości, ale również powód, dla którego ją wprowadziliśmy. To było ważniejsze, niż mogłoby się wydawać. W pracy z muzykami często spotykałam ludzi, którzy potrafili powiedzieć, że coś nie działa, ale nie umieli wyjaśnić dlaczego. Kazimierz przynajmniej próbował oddzielić obserwację od interpretacji.

Przy kolejnym pomiarze poprosiłam, żebyśmy odwrócili kolejność. Chciałam najpierw sprawdzić ustawienie fortepianu, a dopiero później rozmieścić smyczki. Kazimierz początkowo zaprotestował, bo uważał, że wyniki będą trudniejsze do porównania. Zaproponowałam więc, że zapiszemy osobno warunki każdego testu. Nie musiałam długo go przekonywać.

— Pani lubi mieć kontrolę nad przebiegiem pracy — zauważył, gdy przenosiliśmy statyw.

— Lubię wiedzieć, dlaczego coś robimy.

— To nie zawsze jest to samo.

— A pan lubi rozdzielać te dwie rzeczy?

— Zawodowo muszę.

— A prywatnie?

Spojrzał na mnie z wyraźnym zainteresowaniem.

— Prywatnie staram się pamiętać, że nie każda rozmowa jest pomiarem.

Nie odpowiedziałam od razu. Była to pierwsza chwila tego dnia, kiedy rozmowa przestała dotyczyć sali. Nie na tyle, żeby nazwać ją osobistą, ale wystarczająco, bym poczuła zmianę tonu. Odwróciłam się do fortepianu i poprosiłam o kolejny test.

Przed południem mieliśmy już kilka użytecznych wyników. Żaden nie rozwiązywał problemu w całości, ale pozwalał odrzucić dwa warianty i wskazać jeden, który warto było rozwijać. Kazimierz podsumował pomiary, a ja naniosłam poprawki na planie. Uzgodniliśmy, że nie zatwierdzimy ostatecznego ustawienia, dopóki nie sprawdzimy go z rzeczywistym składem zespołu. To oznaczało dodatkową próbę, ale była to cena, którą byłam gotowa zapłacić.

— W piątek? — zapytałam.

— Jeśli uda się przygotować scenę.

— Potrzebuję potwierdzenia do końca dnia.

— Dostanie je pani.

Zamknęłam teczkę. Kazimierz schował urządzenia do walizki, a potem jeszcze raz spojrzał na rysunek. Przez chwilę wydawał się nieobecny, jakby coś w wynikach nie pasowało do wcześniejszych założeń. Kiedy zauważył, że na niego patrzę, złożył kartkę i wsunął ją do rulonu.

— Coś nie tak? — zapytałam.

— Muszę porównać dzisiejsze wyniki z wcześniejszymi.

— Mogę zobaczyć zestawienie?

— Gdy będę miał komplet.

Przyjęłam odpowiedź, choć nie do końca mnie zadowoliła.

— Proszę tylko pamiętać, że nie możemy podejmować decyzji na podstawie danych, których nie znamy oboje.

— Pamiętam.

Wyszliśmy ze sceny niemal równocześnie. Przy drzwiach Kazimierz zatrzymał się, żeby przepuścić mnie pierwszą. Nie był to gest, który wymagał komentarza, ale zauważyłam go. Tak samo jak to, że nie próbował zakończyć rozmowy zawodowym uściskiem dłoni ani obietnicą, że wszystko będzie dobrze.

— Do piątku, pani Ludwiko.

— Do piątku, panie Kazimierzu.

Kiedy znalazłam się na korytarzu, wyjęłam telefon i sprawdziłam wiadomość od dyrygenta. Potwierdził skład zespołu i godzinę próby. Odpisałam, że sala powinna być gotowa, ale nie obiecałam mu jeszcze niczego więcej.

Za drzwiami usłyszałam, jak Kazimierz ponownie otwiera walizkę. Potem rozległ się krótki dźwięk urządzenia i cisza. Przez moment miałam ochotę wrócić i zapytać, co właściwie porównuje z wcześniejszymi wynikami. Nie zrobiłam tego. Mieliśmy ustalony plan, a ja nie chciałam zaczynać współpracy od przekraczania cudzych granic.

Mimo to, kiedy schodziłam po schodach, myślałam nie tylko o akustyce. Kazimierz Las nie był człowiekiem, który łatwo ustępował, ale nie próbował też udowadniać swojej

wartości przez dominację. Potrafił słuchać, a potem odpowiedzieć czymś więcej niż uprzejmym przytaknięciem. Było w tym coś pociągającego, choć nie zamierzałam jeszcze nadawać temu nazwy.

Na razie miałam do wykonania pracę. I człowieka, z którym musiałam nauczyć się ją wykonywać, nie tracąc przy tym ani własnego głosu, ani cierpliwości.

Rozdział 2 - Zasady bliskości

Wiadomość od Kazimierza przyszła następnego dnia o dziesiątej siedemnaście.

„Piątkowa próba jest możliwa. Scena będzie dostępna od czternastej. Potrzebujemy jednak ustalić kolejność działań i zakres zmian, które możemy przetestować bez ingerencji w konstrukcję”.

Przeczytałam ją dwa razy. Nie dlatego, że była szczególnie skomplikowana, ale dlatego, że spodziewałam się raczej krótkiego potwierdzenia niż kolejnej listy warunków. Odpisałam, że mogę spotkać się po południu i omówić szczegóły. Dodałam, że chciałabym porozmawiać nie tylko o ustawieniu instrumentów, ale również o tym, kto będzie podejmował ostateczne decyzje dotyczące sceny.

Odpowiedź przyszła po kilku minutach.

„Proponuję kawę poza salą. Łatwiej będzie rozmawiać bez hałasu remontu”.

Przez chwilę trzymałam telefon w dłoni. Zaproszenie było zawodowe, ale jego forma pozostawiała niewielką przestrzeń na interpretację. Nie zamierzałam jej wypełniać na wyrost. Zgodziłam się na spotkanie o siedemnastej w kawiarni niedaleko placu Litewskiego.

Miałam jeszcze kilka godzin pracy. Przejrzałam partytury, zadzwoniłam do dyrygenta i poprawiłam rozkład prób. Potem pojechałam do mieszkania, żeby zostawić teczkę z materiałami, których nie potrzebowałam na spotkaniu. Zanim wyszłam, przez chwilę stałam przed lustrem, zastanawiając się, czy powinnam zmienić koszulę. Ostatecznie tego nie zrobiłam. Nie szłam na randkę. Szłam uzgodnić warunki

współpracy z człowiekiem, który miał skłonność do stawiania pytań, na które nie zawsze chciałam odpowiadać.

Kawiarnia była niewielka, z wysokimi oknami i stolikami ustawionymi na tyle daleko od siebie, że można było rozmawiać bez konieczności podnoszenia głosu. Wybrałam miejsce przy ścianie, skąd widziałam wejście. Zamówiłam herbatę i wyjęłam notes. Kazimierz pojawił się kilka minut po siedemnastej. Miał na sobie granatową marynarkę, pod którą widać było jasną koszulę. Nie wyglądał już jak człowiek, który spędza pół dnia na budowie, choć na jego dłoniach pozostały drobne ślady pracy.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — powiedział.

— To pan zaproponował spotkanie.

— W takim razie mam nadzieję, że nie żałuje pani przyjęcia zaproszenia.

— Jeszcze nie podjęłam decyzji.

Usiadł naprzeciwko mnie.

— Rozumiem. Będę musiał dobrze wykorzystać pierwsze pięć minut.

Zamówił czarną kawę, bez cukru. Kiedy kelner odszedł, wyciągnął z torby kilka kartek i położył je na stole. Tym razem nie były to plany całej sali, tylko zestawienie możliwych ustawień wraz z uwagami dotyczącymi ograniczeń technicznych.

— Przygotowałem propozycję — zaczął. — Chciałbym, żebyśmy uzgodnili zasady, zanim zaczniemy zmieniać cokolwiek na podstawie pojedynczych prób.

— Słucham.

— Po pierwsze, żadna ze stron nie zatwierdza samodzielnie zmian, które wpływają na pracę drugiej. Po

drugie, wszystkie warianty testujemy w warunkach możliwie zbliżonych do rzeczywistych. Po trzecie, jeśli pojawi się problem konstrukcyjny, nie próbujemy go rozwiązywać przez przesuwanie odpowiedzialności na kogoś innego.

— To ostatnie brzmi jak doświadczenie.

— Niestety.

Nie dopytałam. Zamiast tego przeczytałam dokument. Był konkretny, ale brakowało mi w nim jednej rzeczy.

— Nie ma tu nic o odpowiedzialności za ostateczny układ sceny.

— Bo nie chciałem wpisywać czegoś, co powinniśmy dopiero uzgodnić.

— W takim razie uzgodnijmy. Pan odpowiada za bezpieczeństwo, akustykę i techniczne możliwości budynku. Ja odpowiadam za układ wykonawców, czytelność partii i warunki pracy muzyków. Żadna ze stron nie może zmieniać obszaru drugiej bez konsultacji.

— Zgadzam się.

— I jeszcze jedno. Nie chcę, żeby moje propozycje były traktowane jako dekoracyjny dodatek do gotowego projektu technicznego.

Kazimierz oparł przedramiona na stole.

— Nie po to panią zaproszono, żeby dekorowała scenę.

— Spotkałam już ludzi, którzy mieli inne zdanie.

— Nie odpowiadam za nich.

Powiedział to bez przesadnego nacisku. Nie próbował przekonywać mnie, że będzie lepszy od poprzedników. Właśnie to sprawiło, że po raz pierwszy od początku spotkania odłożyłam długopis.

— Dobrze — powiedziałam. — W takim razie potrzebuję jeszcze dostępu do wyników pomiarów, na których opiera pan swoje decyzje.

— Oczywiście. Udostępnię pani zestawienia dotyczące kolejnych wariantów.

— Wszystkie?

Przez ułamek sekundy jego spojrzenie przesunęło się na kartki.

— Wszystkie istotne dla naszej pracy.

Nie spodobało mi się to określenie. Istotność była kategorią, którą łatwo można było wykorzystać do pominięcia niewygodnych danych.

— Wolałabym sama oceniać, co jest istotne dla mojej części projektu.

— To rozsądne. Przygotuję zestawienie w takiej formie, żeby mogła pani prześledzić wyniki, a nie tylko zobaczyć wnioski.

Przyjęłam tę odpowiedź. Nie była idealna, ale zawierała obietnicę, którą można było później zweryfikować.

Przeszliśmy do harmonogramu. Kazimierz wyjaśnił, że niektóre elementy sali zostaną zamknięte przed dalszym etapem prac, dlatego piątkowa próba musi dostarczyć nam danych pozwalających wybrać dwa warianty do dalszego sprawdzenia. Nie chciałam podejmować decyzji pod presją terminu, ale rozumiałam, że remont nie może czekać na moją pełną satysfakcję.

— Potrzebuję minimum dwóch prób z zespołem — powiedziałam. — Jednej w ustawieniu podstawowym, drugiej po korekcie. Inaczej będziemy porównywać teoretyczne możliwości z rzeczywistym wykonaniem.

— Dwie próby oznaczają dodatkowy czas dla ekipy.

— Wiem. Mogę zorganizować muzyków w krótszych blokach.

— Nie chcę, żeby oszczędność czasu odbiła się na jakości testu.

— A ja nie chcę, żebyśmy zrezygnowali z testu tylko dlatego, że trudno go wpisać w harmonogram.

Przez chwilę milczał, przyglądając się notatkom.

— Jedna próba w piątek, druga w następnym tygodniu. Jeśli do tego czasu będziemy mieli wystarczająco dużo danych, przygotujemy oba warianty.

— A jeśli nie?

— Wtedy nie będziemy udawać, że mamy odpowiedź.

To zdanie spodobało mi się bardziej, niż chciałam przyznać. Nie obiecywał mi łatwego rozwiązania. Przyznawał, że istnieją rzeczy, których jeszcze nie wie.

— Dobrze — powiedziałam. — Ale chcę, żebyśmy oboje byli obecni podczas prób.

— Nie zamierzałem delegować tego na nikogo innego.

— I proszę nie wydawać poleceń muzykom bezpośrednio. Jeśli będzie pan potrzebował zmiany ustawienia, proszę powiedzieć mnie. Ja przekażę ją zespołowi.

— Rozumiem. Z mojej strony proszę, żeby pani nie polecała ekipie technicznej przesuwania elementów bez uzgodnienia ze mną.

— To akurat mogę obiecać.

— Świetnie. Mamy kolejne porozumienie.

Kelner przyniósł kawę. Kazimierz podziękował, po czym odsunął filiżankę nieco na bok, żeby nie zasłaniała